

SPOTKANIE Z JANEM CYBISEM

O śmierci Jana Cybisa dowiedziałem się w pociągu, jadąc do Katowic, z gazety, którą obok mnie czytała młoda dziewczyna.

Kilka pism zwróciło się do mnie o nekrolog czy wspomnienia. Ale Kostuchę trzeba oswoić, poczekać, przyzwyczać się, że kogoś nie ma, zanim zacznie się pisać. Nasza cywilizacja ucieka od śmierci, udaje, że jej nie ma, kręci ogonem jak pies, gdy nie rozumie i udaje, że się cieszy. Nie umiemy znaleźć — chociażby imaginacyjnego sposobu — żeby się nie bać śmierci, przyjmować ją jak coś naturalnego, chociaż niewesołego. Przyczyniają się do tego nie tylko tak zwane ideologie, nie i coraz bardziej miejski profil cywilizacji. Na wsi śmierć jest bardziej potocznym, mniej ukrywanym zjawiskiem, otoczona jest ceremoniałem, jak urodziny czy ślub). W mieście nie ma na to miejsca i czasu — może dlatego śmierć jest czymś wstydliwym, niemal nieprzyzwoitym.

Norwid w *Czarnych kwiatach* usiłuje ją oswoić, wspomina ostatnie, zupełnie zwyczajne spotkania z tymi, których już nie ma. Realizuje powszechną regułę, opisując to, co wszyscy robimy, przypominając sobie, jak to było, jakie były okoliczności, gdy rozmawiałem, widziałem po raz ostatni. Odtworzenie daje nam złudzenie utrwalenia, chociaż klisza taka zawsze kłamie, bo nakładamy na nią to, co później odczuwamy i myślimy. Widzimy inaczej...

Było to jednak z pewnością w Saskim Ogrodzie, w lecie, późnym wieczorem. Było całkiem ciemno, zwłaszcza pod drzewami — chociaż o kilka kroków była oświetlona fontanna przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

Z tych ciemności usłyszałem głos, ktoś mnie zawołał. Zaraz poznałem ciemny głos Cybisa, chociaż nie widziałem jego postaci na ławce. Zapytał mnie — jak zwykle — o Józia i o mojego brata Jasia.

„Nie wiesz, że Jaś nie żyje?”

Jan zamilkł, i dopiero po chwili zaczął powtarzać, z rozmaitym odcieniem zdziwienia, zaskoczenia: „Jaś nie żyje...” W tym niedowierzaniu było coś z człowieka, który stoi obrócony plecami do dużego domu, a — gdy się odwróci — widzi, że tego domu nie ma. Mimo woli śledziłem, czy to jest strach o siebie, czy coś jeszcze. Siadłem na ławce z uczuciem, że coś niedobrego przysiadło tam się do nas. Nie byliśmy sami. Dużo ludzi przechodziło pomiędzy fontanną a nami. Nie mogłem zmienić tematu. Cybis rozpytywał mnie o szczegóły. Po raz pierwszy miałem z Janem wrażenie, że dotykam (palcem?) jego własnej starości.

Przed wojną jeździł często z Hanką Rudzką-Cybisową do moich braterstwa na wieś. Wszyscy tam malowali, bo i goście, i domownicy. Jego przywiązanie do nas, do tych miejsc i wspomnień było wręcz namacalne, chociaż rzadko mówiliśmy o tym. Teraz nastąpiło coś, jak zawalenie się tego naszego wspólnego świata. Nie mogłem mu zadawać głupich pytań, co robi, co maluje. Nigdy nie zamieniałem z Janem niepotrzebnych zdań, żeby wypełnić milczenie. Milczenie było między nami zawsze lepsze niż niepotrzebne słowa. Po raz pierwszy teraz, na ławce, szukałem tematu, żeby go nie pytać o zdrowie czy tym podobne głupstwa. Sięgnąłem do dawnych, paryskich lat, do naszego życia tam.

„No — Jan często zaczynał od śląskiego «no» — trzeba mieć w życiu jakąś pasję”. I po chwili: „Myśmy ją mieli”.

Pomyślałem — czemu używa czasu przeszłego? Niech mówi za siebie! Ale milczałem. A Jan ciągnął dalej: „I trzeba mieć w życiu coś ważnego, uważać, że coś jest ważne, najważniejsze”. I znowu dodał, po dłuższej chwili swoje: „No — nie?...”

Odstępy czasu, tempo jest w mowie równie ważne jak w muzyce. Czymś zupełnie innym jest, gdy ktoś mówi, a drugi słyszy — czymś innym, gdy jeden pisze, a drugi czyta. Nie ma sposobu, by przywołać czyjąś obecność. Tak jak nie ma sposobu, by zastąpić żywą muzykę przez taśmę i głośnik. Może dlatego nie lubię filmu i zawsze wolę żywego aktora. Może staroświecka jest ta niechęć do kliszy i reprodukcji, zamiłowanie do tego, co żywe i jednorazowe.

Waham się przed napisaniem zdania, że Jan potem wstał i szedł bardzo wolno do domu przez Plac Zwycięstwa. Nic to w gruncie rzeczy nie znaczy, bo całe znaczenie jest we mnie, który szedłem obok, zwalniając kroku, żeby nadążyć za jego latami. „Przecież on nie jest taki stary”, myślałem, licząc, ile mu dodać lat z XIX wieku. A on przystawał, żeby powiedzieć jeszcze słowo: „Ty, ja, my wszyscy — pamiętasz — wierzyliśmy w coś? — Prawda?” Znowu przystanął.

Zawsze ten przeszły czas! Chciałem wprowadzić jakiś weselszy akcent. Ale jak to zrobić?

Nie mogę powiedzieć, żebym wtedy odczuł, że to jest nasze ostatnie spotkanie. To nałożyło się potem, zwoje, w które jesteśmy wplątani, dziury, które łatamy byle czym.

Odprowadziłem go do domu, spieszyłem się do siebie, a nie chciałem tego okazać. Nigdy nie wiemy, kiedy warto przystanąć!

Przed bramą na Karowej znalazłem temat: zapytałem go o synów. Zobaczyłem wtedy w oczach Jana dawny blask, uśmiech, ożywienie, gdy mówił: „Nie poznałbyś ich. Dorośli ludzie. Duże chłopcy. Fajne chłopaki”.

16 X 1973

Zygmunt Mycielski, *Postludia*, Kraków 1977, s. 19–22.